

# Marek Zybura

---

## "Dudeczku mój drogi... Droga Alice..." : o pewnej "amitié amoureuse á trois" w dziejach niemieckiej recepcji twórczości Witolda Gombrowicza

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (148), 319-338

---

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

---

Marek Zybyra

---

**Dudczku mój drogi... Droga Alice...  
O pewnej amitié amoureuse à trois  
w dziejach niemieckiej recepcji twórczości  
Witolda Gombrowicza**

---

*Hubertowi Orłowskiemu  
w 77. rocznicę urodzin*

**G**eneza niemieckiej recepcji dzieła Gombrowicza wciąż jest w Polsce słabo znana. Dotychczasowa nieznanomość korespondencji pisarza z jego niemieckim tłumaczem Rudolfem Richterem (publikującym swoje przekłady pod pseudonimem Walter Tiel) oraz z zaprzyjaźnioną z nim emigracyjną pisarką Alicją de Barcza, która mu go rekomendowała, częściowo to tłumaczy<sup>1</sup>. Realizowany obecnie w Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich im. Willy’ego Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego projekt badawczy „Heinrich Kunstmann (1923-2009) i literatura polska” pozwoli, m.in. dzięki analizie spuścizny po tym uczonym, także tłumaczu Gombrowicza i przyjacielu Richtera, udostępnić niebawem czytelnikom te korespondencje i przybliżyć sygnalizowaną na wstępie problematykę.

---

**Marek Zybyra**,  
prof. zwyczajny  
w Centrum Studiów  
Niemieckich i Eu-  
ropejskich UWr im.  
Willy’ego Brandta.  
Opublikował ostatnio  
Czesław Miłosz im  
Jahrhundert der  
Extreme. *Ars poetica*  
– *Raumprojektionen* –  
*Abgründe* – *Ars trans-*  
*lationis*. Hrsg. von  
Andreas Latwy und  
Marek Zybyra (2013)  
oraz Józef Mackiewicz  
(1902-1985) – *świadek*  
*„krótkiego stulecia”*.  
Studia i materiały  
pod red. Krzysztofa  
Ruchniewicza i Marka  
Zybyry (2013). Kon-  
takt: marekzybyra@  
poczta.onet.pl

---

1 Obszerny zbiór listów Gombrowicza do Alicji de Barcza opublikowałem po zapowiedzi we wrocławskiej „Odrze” (2013 nr 2, s. 37-48) w 2 monograficznym numerze czasopisma „Gombrowicz-Blätter” (2013): *Witold Gombrowicz, Briefe an Alicja de Barcza 1955-1966*, s. 6-75.

Zanim to nastąpi, chciałbym w napisanym na podstawie, a właściwie spisanim ze wspomnianej archiwalnej spuścizny tekście, przynoszącym nieznanne dotąd świadectwa, rzucić nieco światła na te dwie postacie, które mając decydujący udział w początkach Gombrowicza „walki o sławę” literacką w Niemczech, funkcjonują do dzisiaj na obrzeżach gombrowiczologii<sup>2</sup>. Dla ważkości i barwności tych świadectw będą z nich cytował miejscami stosunkowo obficie.

Alicja de Barcza (1909-1973), przez przyjaciół zwana Litką, będąca niejako zwornikiem między pisarzem i tłumaczem, znała Gombrowicza jeszcze z przedwojennej Warszawy przełomu lat 20. i 30. Rudolfa Richtera (1894-1974), potomka rodziny łódzkich przemysłowców tekstylnych, poznała tam jeszcze wcześniej. Początkujący pisarz i jego przyszły tłumacz nigdy się w Polsce nie zetknęli, chociaż mieszkali tu obaj przed wojną. Do pierwszego i ostatniego między nimi spotkania miało dojść na dwa lata przed śmiercią Gombrowicza we Francji. Los chciał, że Richter, de Barcza i Gombrowicz nigdy nie spotkali się we troje, chociaż trójkę tę łączyły (może właśnie dlatego) inne jeszcze relacje niż tylko literackie.

W *Dzienniku 1961* pisarz tak o znaczeniu Richtera i de Barczy dla siebie wspominał:

Czasem naokoło siebie widzę tylko las wrogów. A czasem, gdzie okiem rzucę, ukazuje się dobroczyńca. Litce, na przykład, zawdzięczam Waltera Tiela. A Tielowi zawdzięczam przekład *Ferdýdurki* z polskiego na niemiecki, powitany chórem pochwał w prasie niemieckiej – i zawdzięczam mu wysiłek tak gorący, bezinteresowny, skrupulatny, że w tej chwili już prawie wszystkie moje utwory są, przed terminem, przyswojone niemieczyźnie i gotowe do wydania. Jak się odwdzięczyłem Litce, że mi ten skarb wynalazła, że odważyła się mnie go narzucić?<sup>3</sup>

2 Pierwszy i jedyny dotąd tekst o Alicji de Barcza opublikowała przed paroma laty N. Taylor-Terlecka *Gombrowicz i Alicja de Barcza*, w: *Witold Gombrowicz nasz współczesny*, red. J. Jarzębski, Universitas, Kraków 2010, s. 774-782. O biografii Rudolfa Richtera wspomniał po raz pierwszy (i jest to dotąd jedyna wzmianka tego rodzaju w literaturze przedmiotu) H. Kunstmann w swoim artykule: *Die Rückkehr des Witold Gombrowicz nach Europa. Aus den Anfängen seiner deutschen Rezeption*, w: *Gombrowicz in Europa. Deutsch-polnische Versuche einer kulturellen Verortung*, red. A. Lawaty, M. Zybura, Harrassowitz Verlag, Wiesbaden 2006, s. 81-115. Po polsku tekst ten: *Powrót Witolda Gombrowicza do Europy. O początkach recepcji jego twórczości w Niemczech*, ukazał się w *Pismach wybranych uczonego*, red. M. Zybura, Universitas, Kraków 2009 (Polonica leguntur, t. 10), s. 410-465.

3 W. Gombrowicz *Dziennik 1953-1969*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013, s. 665.

Jak do tego doszło? Decydująca była znajomość de Barczy z Richterem, której kulisy opisał on po śmierci Gombrowicza w liście do Heinricha Kunstmanna (tłumacza *Iwony*):

Z Litką zaprzyjaźniłem się w taki oto sposób: jej ojciec, Otto Liphardt, był w Warszawie przedstawicielem na Polskę firmy D. M. C. (Dollfus, Mieg & Co., Mulhouse – nici do haftów i koronek, etc.), podczas I wojny światowej także współpracownikiem szwajcarskiego konsulatu tamże. Jego żona, z domu Vitali, była z kolei spokrewniona z Wedłami (fabryka czekolady), w których domu rodzinnym przy ul. Szpitalnej 8 w Warszawie mieszkali. I to właśnie przez Wedłów poznaliśmy się z Liphardtami, u których my znów często pomieszkiwaliśmy, będąc w Warszawie. Po I wojnie światowej z kolei pani Liphardt przyjeżdżała z swoimi obydwoma córkami Litką i Marylą do nas na wakacje, do naszego majątku w Glinniku (przy linii kolejowej Warszawa-Łowicz-Łódź-Kalisz, pomiędzy stacjami Stryków-Zgierz). Litka miała wtedy około dziesięciu, dwunastu lat, a Maryła była jeszcze młodsza. Litka durzyła się wtedy we mnie [...]. Przyjeżdżając do Warszawy, odwiedzałem zawsze Liphardtów, nocując niekiedy w ich pokoju gościnnym. Przy stole nawiązywała się między Litką a mną za każdym razem ożywiona, wesoła rozmowa, przy której dokazywaliśmy niezłe, żartując z najrozmaitszych rzeczy, choćby z wymowy „ł” w polszczyźnie. Parodiowałem wymowę tego właściwie bezdźwięcznego „ł” w wymyślonym zdaniu: „umarł zjadłszy jabłko”, i zwijaliśmy się ze śmiechu. A wprost ryczeliliśmy po homerycku, kiedy np. pan Liphardt, chcąc zrobić komplement jakiejś damie, która zeszcupiała, mówił w swojej nieporadnej polszczyźnie: „Ale pani ciuciuplala!”... Litka jako podłotek miała do mnie bardzo łobuzerski stosunek, dzielając moje poczucie komizmu i sarkazm. I stąd też mieliśmy dla siebie tyle sympatii. [...] Potem, w czasie II wojny światowej (wyszła w międzyczasie za mąż za niejakiego Romaszkana, wybudowała nad Prutem wspaniały dom, który nazywała „Strasznym Dworem” i który podczas wojny diabli wzięli, jej mąż oślepl, opiekowała się nim, ale zmarł) uciekła na Węgry, gdzie poznała cukrowego magnata Charlesa de Barczę w Czerwonym Krzyżu. Poślubiła go, wyjechali do Positano, potem do USA, gdzie jej mąż został doradcą w jakiejś firmie. Ona sama została nauczycielką niemieckiego i francuskiego w college’u w Oshkosh (Wisc.), czym się jeszcze i teraz, po śmierci drugiego męża, wciąż zajmuje. [...] Jeszcze przed II wojną

Litka poznała w Warszawie Gombrowicza (zapewne też i jego adeptów, w każdym razie także Witkacego oraz wielu literatów i artystów), no i stąd to przyszło jej potem w USA do głowy, aby mnie zapytać: „czy nie chciałbyś przetłumaczyć taką wściekle warjacką książkę, bardzo zabawną?” – miała na myśli FERDYDURKE, – i tak to się stało!...”<sup>4</sup>

To barwne świadectwo zarówno na temat samej Alicji de Barczy<sup>5</sup>, jak i okoliczności, w jakich Richter został tłumaczem Gombrowicza, wymaga w odniesieniu do niej paru uzupełnień i uściśleń. Alicja de Barcza dorastała i kształciła się w Polsce, Szwajcarii, Niemczech i w Anglii, jako projektantka ubiorów pracowała w Paryżu. Mając w sobie krew wielu nacji („12,5% Polish with the rest a mixture of East Prussian [to stamtąd pochodził ojciec], Russian, Italian and Lithuanian”, czytamy na okładce jednej z jej amerykańskich książek), została Polką z namiętnego wyboru: „I’m not a Pole by blood but by sheer frantic habit. Once you start being a Pole, it’s terribly hard to stop. Try it: hopeless struggle”, deklarowała amerykańskim czytelnikom<sup>6</sup>. Za Romaszkaną wyszła w 1931 roku, osiadając w Polsce. Mąż zmarł na Węgrzech, dokąd uciekli we wrześniu 1939 roku. Charlesa de Barczę poślubiła w 1944 roku. Do Włoch (Positano) uciekli z Węgiem wiosną roku 1945. Impulsu do dalszej emigracji za ocean dostarczył amerykański sukces jej opublikowanej najpierw w 1948 roku po francusku i pod pseudonimem Alexandra Orme książki *Soldats russes d’après nature, histoire vraie d’un village occupé*, w której przetworzyła literacko swoje przeżycia z zajęcia Węgier przez Rosjan i okupacji tego kraju. Wydana w 1949 roku w Nowym Jorku pt. *Comes the Comrade!* książka stała się w rodzącej się atmosferze zimnej wojny bestsellerem i dała początek amerykańskiej karierze literackiej autorki, publikującej odtąd już stale jako Alexandra Orme. Nowa sytuacja pozwoliła jej wrócić do towarzyskiego stylu życia sprzed wojny w środowisku emigracji polskiej i środkowoeuropejskiej, po części nawet wśród tych samych przyjaciół i znajomych, których wojna wyrzuciła na amerykański brzeg. Po śmierci męża, rozczarowana Ameryką, trawiona tęsknotą za

4 List do H. Kunstmanna (po niemiecku) z 26 lutego 1970 roku. Pytanie Litki przytacza Richter po polsku.

5 Bezdyskusyjnie wiadoma jest teraz poprawna forma zapisu jej rodowego nazwiska, rozmaicie dotąd podawanego, nawet jako Lipchard [sic!], w: J. Siedlecka *Jaśnie Panicz. O Witoldzie Gombrowiczu*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987, s. 185.

6 Tekst za okładką jej książki *Comes the Comrade!*, William Morrow & Co., New York 1950.

krajem, wróciła jesienią 1973 roku do Polski, do rodzinnej Warszawy, gdzie zamieszkała przy ulicy Smolnej 10/2. Zmarła w tym samym roku.

Korzystając z możliwości swojego materialnego statusu w USA oraz stosunków towarzyskich, Litka de Barcza zaangażowała się w pomoc dla klepiącego w Argentynie biedę Gombrowicza, służąc mu pieniędzmi, kontaktami i informacjami. Pisarz pomoc przyjmował („Właściwie powinienem był odesłać Ci te dolary krwawo zapracowane, ale, moja droga, wobec dolarów jestem zupełnie bezsilny – c'est plus fort que moi – nie uwierzysz, co się dzieje ze mną na ten widok. Uśmiełem się, czytając smakowite zresztą menu, jakie sporządziłaś, bo ja tu za to mogę zjeść 20 obiadów, pójść 60 razy do kina lub opłacić miesięczne komorne” – list z 27 marca 1956 roku), a nawet podpowiadała środowiskową strategię tej pomocy i jej taktyczne rozwiązania. Największą bez wątpienia zasługą dla światowej promocji i recepcji pisarza było znalezienie mu tłumacza na język niemiecki w osobie Rudolfa Richtera. Do śmierci Gombrowicza przełożył on wszystkie jego książki wydane po polsku. Były to przekłady powszechnie chwalone przez krytykę (co nie zawsze było udziałem tłumaczeń utworów Gombrowicza na inne języki!), z czego pisarz czerpał ogromną satysfakcję. Jak się za to Litce odwdzięczył? Po gombrowiczowsku: „Co do wdzięczności... nie lubię tego uczucia [...] Napisałem: «Nie przeczę, utrafiłaś, ale co prawda człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi»”<sup>7</sup>.

Jeszcze mniej od Alicji de Barcza znana jest środowisku gombrowiczologów osoba tłumacza Waltera Tiela. Do niedawna zresztą nawet jego prawdziwe nazwisko nie było szerzej znane. Sam pisarz zaintrygowany osobliwą miejscami polszczyzną swego tłumacza (wielojęzycznego podobnie jak de Barcza), zdradzającą wszakże, iż nie była ona dla niego wyuczonym językiem obcym, zapytywał go w liście z 9 marca 1960 roku: „Czy Pan jest Polak, czy Niemiec? Skąd pańskie związki z Polską? Proszę trochę napisać o sobie”.

Richter udzielił mu wyjątkowo wyczerpującej odpowiedzi:

Co do mojej osoby: dziadek mój przywędrował w r. 1840 z Czech do Łodzi jako tkacz, korzystając z ułatwień rządu rosyjskiego (tereny, budulec etc.) założył fabrykę w r. 1841. (firma „Józef R.”). Ojciec mój był więc wtedy jeszcze „sujet autrichien”, później „sujet russe” – a jeszcze później – po pierwszej wojnie światowej – dostał przynależność

7 W. Gombrowicz *Dziennik 1953-1969*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013, s. 665.

polską. Ja, urodzony w r. 1894, byłem więc wtedy „sujet russe”. Niankę miałem polską (Antosię), do lat pięciu mówiłem tylko po polsku, z matką również jak z liczną służbą, potem również po niemiecku, gdy zacząłem chodzić do szkoły prywatnej, później rok do rosyjskiego gimnazjum. Podczas rozruchów w r. 1904, wyjechaliśmy z całą rodziną do Drezna, gdzie potem zostałem sam (w pensjonatach) i chodziłem do gimnazjum aż do matury (Wielkanoc 1914 r.). Matka była b. odczytana i zainteresowana sztuką i muzyką. Mieszkali u nas często muzycy, jak Bronisław Huberman, Zadora, Egon Petri, Rita Sachetto, gdy przyjeżdżali na koncerty do Łodzi, a co czwartek grały koncerty u nas, przychodził czytać Jaracz (wtedy znany aktor polski), a siostra (starsza ode mnie) miała za wychowawców (uczyła się w domu) n.p. Ludwika Klagesa (później znany grafolog, właściwie „ojciec” grafologii), Fryderyka Hucha (kuzyn Ricardy Huch, również autor), z którym mając lat 15 byłem we Florencji, dokąd potem jeszcze częściej jechałem i z którym byłem b. zaprzyjaźniony aż do jego śmierci (1912). Podczas I. wojny byłem 3 lata w Zurychu (stud. psychologii, potem architektury), a 1 rok w Laussane (hautes études commerciales), zaraz po wojnie wróciłem do Łodzi, wyjechałem jednak na rok do Berlina. Po powrocie zacząłem zajmować się sprawami we fabryce (ojciec nią kierował) i po 3-ach latach, po śmierci ojca, przejąłem dyrekcję aż do roku 1930-go. Byłem potem 3 lata we Francji, Paryż, potem koło Aix-en-Provence, w roku 1936 kupiłem „resztówkę” pod Kołem (majątek ten należał do dyr. Ostroroga-Sadowskiego, który go przejechał i rozparcelował), b. zamilowany byłem rolnictwem (ojciec w r. 1900 kupił mająteczek na letnisko za Zgierzem. „Dwór” był tam jeszcze m o d r z e w i o w y!, nad wielkim stawem spalony młyn wodny, i wszystko zostało utrzymane w stanie możliwie dawnym, tak że było tam cudownie). Przyszła nowa wojna, zrobili ze mnie „volksdeutschera”, w styczniu 1945 r. zaciągnęli mnie cholery jeszcze do wojska, ale ukrywając moją polyglotność i udając zwyczajnego chłopca, [trafiłem] jako stangret do fabryki amunicji, gdzie było dużo jeńców rosyjskich i włoskich, z którymi ku ich radości często rozmawiałem, pocieszając ich i sam się ciesząc, że to im taka pociecha („senti, questo signore parla italiano!”, krzyczeli). – No, niedługo wszystko poszło do diabła, w maju lelu po lelu, to pieszo, to pociągami przedostałem się z powrotem „do domu”, do Koła (jako polski robotnik przez Niemców przymusowo zawleczony do Niemiec i powracający teraz do ojczyzny). Zajrzałem najprzód do naszego lekarza, Leona

Zuchowicza w Kole, który mi powiedział, że żona moja z dziećmi już wyjechała, niewiadomo dokąd, więc szukałem ich w Łodzi daremnie, potem w Bielsku-Białej u rodziców mojej żony – też daremnie – więc wyjechałem do Berlina i 14 lipca 1945 r. znalazłem ich wszystkich pod Schwerinem u teściów mego siostrzeńca, jak również moją siostrę. No, to wszystko tylko w krótkich słowach, bo te pielgrzymki były b. skomplikowane i pełne rozmaitych awantur. Dobrze tylko, że człowiek nie wie, co wszystko jego czeka, bo wtedy nie miałby sił ani odwagi na takie przeżycia, a dopiero „po krzyku” się dziwi, że takie rzeczy były możliwe i do wytrzymania. W każdym razie to w zupełności wystarczyło i historii Hioba to komedyjka wobec tego. Nigdy o tym wszystkim nie myślę, bo na co? Lepiej patrzeć p r z e d siebie, a nie za sobą. Właściwie jestem w takim samym położeniu jak Pan. A co do narodowości, to nigdy za prawdziwego „Niemca” się nie uważałem, ani też za Polaka, ani w ogóle za co, tylko za człowieka, chociaż bardzo a bardzo w Dreźnie tęskniłem aż rozbeczony za krajem, bo go kochałem – tę wieś, tych chłopów, całą tę atmosferę właściwie dla mnie „rodzinną” i jeszcze teraz nie czuję się tutaj w Niemczech „jak w domu”, a raczej jako obcy – *très en distance avec tout et tous*. – Żona moja z domu Holeksa, jej matka z domu Janota, której ojciec był kowalem w Białej – Bielsko z kawałkiem roli przy kuźni, i żona naturalnie również mówi po polsku (wychowana w szkole Elżbietanek w Bielsku).<sup>8</sup>

Powracając pod koniec owego roku w korespondencji z Kunstmannem do kwestii swojej tożsamości, tak ją doprecyzował:

W istocie sam nie wiem, kim właściwie jestem – Polakiem, Niemcem czy Francuzem? Po sercu z pewnością Polakiem, z ducha może raczej Francuzem – a Niemcem? Chyba tylko par hasard, bo swego czasu zrobiono ze mnie volksdeutschera, co pozostało jednak najpraktyczniejszym rozwiązaniem. Moi przodkowie pochodzą z Bohemii. *Więc cygan jestem najprawdziwszy! Bohémien!*<sup>9</sup>

8 List niedatowany, pisany – jak daje się to zrekonstruować z rytmu korespondencji Richtera z Gombrowiczem – około 20 marca 1960.

9 List z 5 grudnia 1960. Wykursywowane zdanie napisał Richter w swoim niemieckim liście po polsku.



W listach do Gombrowicza i Kunstmanna Richter wyjawia także powody, dla których zdecydował się publikować tylko pod pseudonimem, nie ujawniając swojej prawdziwej tożsamości nawet w redakcjach czasopism i wydawnictw, z którymi zaczął wtedy współpracować (wydawca Gombrowicza, Günther Neske, był tu wyjątkiem).

Przystępując do współpracy z Gombrowiczem, informował go jeszcze niejasno, ogólnie: „Ze względów rozmaitej natury nie życzę [sobie], ażeby mnie wymieniono jako tłumacza, a jedynie pod pseudonimem – może «Polonius»”<sup>10</sup>. Pół roku później, nabrawszy do pisarza zaufania, odkrył karty: „bo gdybym oficjalnie firmował jako tłumacz, to potrącono by mnie to z pieniędzy, które otrzymuję jako emigrant i za stary już do roboty, a to by była b. gorzka sprawa, bo ta «renta» i tak znikomo mała (300. – miesięcznie dla całej naszej rodziny)”<sup>11</sup>. Mający już 66 lat Richter, który ożenił się dopiero w wieku 45 lat, miał wtedy na utrzymaniu żonę i syna w wieku szkolnym. Perspektywa utraty tego zasiłku, który otrzymywał od państwa niemieckiego z tytułu „wypędzenia” i utraty mienia w Polsce, bardzo go niepokoiła. A że taka groźba istniała realnie, świadczy fakt, iż ostrzegli go przed tym sami niemieccy urzędnicy podatkowi, co przyznał w liście do Kunstmanna, tłumacząc mu, podobnie jak Gombrowiczowi, zawłości swojego postępowania w tej mierze (*nota bene*: w pisanym po niemiecku liście tłumaczył je dla ostrożności po polsku!):

Teraz Panu wyjaśnię dlaczego muszę koniecznie zachować pseudonim. Otóż z rodziną żyję z zapomogi urzędowej (trzysta pięć marek miesięcznie) jako emigrant. Urzędnicy radzili mi przyjaźnie, ażebym w żadnym razie oficjalnie nie występował jako tłumacz pod moim własnym nazwiskiem, bo wtedy by mi potrącić musieli daleko przeszło połowę moich „zarobków”, a nawet może i zapomogę zupełnie skreślić. Takie to buty, widzi Pan! Pracowałbym więc wtedy za guzik, – a za to dziękuję!... I tak już te „zarobki” równają się takim, a nawet takich nie dosięgają, za które dziad byle jaki przekopuje ziemię w ogrodzie.<sup>12</sup>

10 List z 30 września 1959 roku.

11 List z 28 kwietnia 1960 roku.

12 List z 21 listopada 1960 roku.

Kunstmannowi wyjawiał też (znów po polsku) techniczną stronę uprawianej z niemieckim fiskusem gry w chowanego: „A pieniądze Neske przekazuje pocztą do mego przyjaciela w Zurychu, którego imię i nazwisko jest identyczne jak mój pseudonim, tylko że nazwisko jego pisze się przez T i potem z literą h. On zaś używa inny pseudonim w jego publikacjach. Dowcipne, co?”<sup>13</sup>.

Obawy przed dekonspiracją tych „dowcipów” oraz ich ewentualnymi konsekwencjami miały odtąd towarzyszyć Richterowi do końca życia, a zaczął on niebawem tłumaczyć także innych polskich autorów (m.in. Witkacego, Schulza, Herberta, Lema, Pankowskiego, Bocheńskiego). Pod koniec tej tak dla siebie pracowitej dekady podkreślał: „Przy pseudonimie muszę się jednak upierać. W przeciwnym razie mogłoby mnie to nieźle kosztować (*Urząd Skarbowy!*). Na gloria mundi gwizdź!”<sup>14</sup>.

Fenomen niezwyklej erupcji translatorskiej aktywności Rudolfa Richtera, zamykającej się właściwie w granicach jednej dekady lat 60., zasługuje na swojego monografistę. Fenomen to tym bardziej zaskakujący, że debiutujący w wieku 66 lat tłumacz – i to od razu przekładem pisarstwa najwyższej próby – nie miał za sobą żadnego zawodowego doświadczenia w tym względzie. Miał przełożyć wprawdzie wedle własnych słów *Granicę* Zofii Nałkowskiej, ale wybuch wojny przekreślił ten projekt wydawniczy i pochłonął maszynopis przekładu<sup>15</sup>. Jest to jednak wskazówka pozwalająca doszukiwać się translatorskich zainteresowań Richtera jeszcze w jego przedwojennym życiu, kiedy to łączył działalność przedsiębiorcy, a potem ziemianina-rolnika z pasją do literatury. Pasję tę zaszczepiła w nim niewątpliwie matka, Paula Richter (1868-1921, z domu Biedermann, córka pioniera rozwoju przemysłu w Łodzi Roberta Biedermanna i siostra znanego łódzkiego przedsiębiorcy

13 List z 5 grudnia 1960 roku. Richter ma na myśli dziennikarza i tłumacza André Thiel-Zündela.

14 List do Kunstmanna z 29 listopada 1969 roku.

15 Wspomina o tym w jednym ze swoich pierwszych listów do Günthera Neskego z 14 marca 1959 roku. Sprawa jest jednak niejasna: Zofia Nałkowska zapisuje w swoich *Dziennikach* pod datą 6 września 1936 roku, że „*Granicę* już ktoś tłumaczy (też zrujnowany łódzki fabrykant)”. Faktycznie, Richter nie miał już wtedy rodzinnej fabryki i zaczynał właśnie swoją przygodę z rolnictwem. Po dwóch latach jednak pisarka notuje 21 grudnia 1939 roku: „Dziś wybuch ciężkich zagadnień wokół niemieckiego przekładu *Granicę*”, co Hanna Kirchner komentuje: „Niemiecki przekład *Granicę* nie został zrealizowany”, w: Z. Nałkowska *Dzienniki IV 1930-1939. Część 2 (1935-1939)*, oprac., wstęp i kom. H. Kirchner, Czytelnik, Warszawa 1988, s. 136, 363 i n. *Granicę* przetłumaczono na niemiecki, ale po wojnie. Tłumaczem był Caesar Rymarowicz. Jako *Die Schranke* książka ukazała się w 1958 roku nakładem wydawnictwa Volk und Welt w Berlinie Wschodnim.

Alfreda Biedermanna), o której przedwojenny łódzki dziennikarz niemiecki, Otto Heike, wielokrotnie w swojej autobiografii wspomina, że była w Łodzi szczególnie hojną wspomóżycielką artystów, a jej dom ich przystanią<sup>16</sup>. Zachodzi tu ciekawa paralela między Richterem i Gombrowiczem w odniesieniu do wpływu, jaki na duchowy profil i związane z nim zainteresowania tłumacza i pisarza wywarły ich własne matki. „Jestem artystą po matce” stwierdzał Gombrowicz w *Testamencie*<sup>17</sup>, Richter zaś w cytowanej autobiograficznej relacji także wyraźnie eksponuje artystyczne pasje matki, wspominając ojca, Józefa Richtera (1860-1926) mimochodem (tak samo postępuje z ojcem, również przedsiębiorcą, w swoich pismach autobiograficznych Gombrowicz!). Zgodna duchowa ‘chemia’, będąca podstawą łączącej ich więzi, która „polegała w sposób naturalny na [...] tak pokrewnych odczuciach i poglądach”<sup>18</sup> – jak to widział sam Richter – miała swoje źródło we wspomnianym wpływie matek – artystek. Artystyczne koneksje matki Richtera (wspierała finansowo m.in. malarza Otto Pippela czy pisarkę Franziskę Gräfin von Reventlow) tłumaczą także – by i to przy okazji wyjaśnić – fakt, że Richter zamieszkał po II wojnie światowej w kolonii artystycznej w Worpswede, w Haus im Schluh, domu Marthy Vogeler. Otóż jego matka utrzymywała kontakty także z tamtejszymi artystami, m.in. z Heinrichem Vogelarem. W 1907 roku kupiła od niego obraz „Frühling”, portret jego żony z okresu narzeczeńskiego (1897). W 1934 roku Martha Vogeler odkupiła go od Rudolfa Richtera i do dzisiaj obraz ten znajduje się w jej domu, w którym już od lat 20. prowadziła także pensjonat. To w jednym z jego wynajmowanych gościom pokoi zamieszkał z rodziną Richter, podtrzymując dawne kontakty z właścicielką, zmarłą tam w 1961 roku.

Do przekładu *Ferdydurke* (który w 1960 roku zapoczątkował niemiecką recepcję twórczości pisarza) Richter zakwalifikował się, wygrywając bezapelacyjnie swego rodzaju konkurs z Arminem Drossem<sup>19</sup>, uznanym już wtedy

16 O. Heike *Die deutsche Minderheit in Polen*, Im Selbstverlag, Leverkusen 1985, s. 83, 91, 348. Mylenie wywodzi jednak jej pochodzenie z innej rodziny łódzkich Niemców, Kindermannów.

17 W. Gombrowicz *Testament. Rozmowy z Dominikiem de Roux*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004, s. 8.

18 List Richtera do Neskego z 6 sierpnia 1969 roku.

19 Armin Droß (1912-2000) – tłumacz, publicysta. Przed wojną działacz mniejszości niemieckiej w Polsce, studiował historię i polonistykę w Poznaniu. Współpracował po wojnie z Giedroyciem (korespondencja w Archiwum „Kultury”), który polecił go Gombrowiczowi listem z 31 marca 1959 roku.

tłumaczem, który zorganizował wydawca, żądając od obydwu kandydatów próbnych tłumaczeń pierwszego rozdziału książki. „Przed paru dniami pisał Neske”, informował go potem Gombrowicz, „że Drossa tekst o wiele gorszy i że Panu chce powierzyć wszystkie tłumaczenia”, i dodawał „z listów Pana wyczuwam, że Pan jest osobą, której szukaliśmy”<sup>20</sup>. Przyszłość miała to potwierdzić z nawiązką. Po dwóch latach, jakby nie dowierzając jeszcze swemu szczęściu, pisarz donosił Litce: „Ten tłumacz jest nie tylko GENIALNY, lecz także PUNKTUALNY, ba, wyrabia się przed czasem, co u dobrych tłumaczy nie zdarza się nigdy, tzn. obydwie te cnoty naraz”<sup>21</sup>.

Gombrowicz cenił Richtera jak rzadko którego ze swoich tłumaczy. Bywało, że rozpoczął do niego list słowami: „Drogi Mistrzu”. Po śmierci męża Rita Gombrowicz pisała do niego: „Mon mari me disait toujours que vous étiez son meilleur traducteur, vous qui avez traduit toute son œuvre avec enthousiasme et désintéressement”<sup>22</sup>. Za życia ich wzajemne stosunki układały się różnie. Obydwaj byli silnymi osobowościami, przy czym Richter, natury na wskroś, by tak rzec: ‘demokratycznej’, z biegiem lat przejawiał coraz mniej tolerancji dla celebrowania przez pisarza „genialności mojej”. Poza tym tłumacz generalnie identyfikujący się silnie z Gombrowiczem i jego dziełem, zaczął ulegać tzw. syndromowi „księżej gospodyni”<sup>23</sup> i próbował suwerennie, to znaczy bez porozumienia z nim, dysponować przełożonymi przez siebie fragmentami jego utworów wobec rozmaitych redakcji. Zdenerwowany Gombrowicz interweniował wtedy:

Oj! Cieszę się, że Panu się ten fragment [...] spodobał, ale jeszcze raz proszę nic nie robić bez porozumienia się ze mną. Mnie nie dogadza publikacja tego tekstu w Niemczech [...]. Panie Rudolfe, niechże Pan zrozumie, że ja muszę sam decydować, to są sprawy skomplikowane. Jeszcze raz Pana proszę z naciskiem, żeby Pan od siebie ani nie decydował,

20 List z 27 maja 1959 roku.

21 List do Alicji de Barcza z 10 kwietnia 1961 roku, zachowany tylko w niemieckim tłumaczeniu Rudolfa Richtera.

22 List z 1 sierpnia 1969.

23 Mjr Stefan Benedykt, szef Wydziału Propagandy, Kultury i Prasy 2 Korpusu gen. Andersa, tak tłumaczył ten syndrom Józefowi Mackiewiczowi w Rzymie w 1945 r.: „Księża gospodyni w pierwszym roku mówi: To wszystko księdza proboszcza. W drugim: nasze. A w trzecim: moje”. Cyt. za: Z. S. Siemaszko, *Józef Mackiewicz. Listy, opracowania, wspomnienia*, Norbertinum, Lublin 2009, s. 45.

ani nie informował nikogo. Dyskrecja i wstrzemięźliwość! Bardzo w Panu lubię to istotne zainteresowanie moją literaturą, ale musimy uważać, żeby nie było niepotrzebnych komplikacji.<sup>24</sup>

Wreszcie wielki podziw Richtera dla pisarza nie paraliżował go bynajmniej przed otwartym wyrażaniem swego zdania nawet wtedy, gdy diametralnie różnił się z Gombrowiczem w ocenie jego utworów. *Kosmos* np. uważał za (delikatnie tu jego sąd oddając) pisarską pomyłkę Gombrowicza i długo nie chciał tego utworu tłumaczyć, a później w trakcie pracy nad przekładem omal nie zerwał z pisarzem współpracy. W czasie kolejnego niżu we wzajemnych stosunkach (chorujący coraz bardziej Gombrowicz miał być może coraz mniej empatii wobec emancypującego się spod jego skrzydeł tłumacza) doszło do wspomnianego na początku jedynego między nimi spotkania.

Richter odwiedził Gombrowicza w Vence z synem Dorianem 13 września 1967 roku. Swoje wrażenia zrelacjonował w listach do Neskego i Litki. Do wydawcy pisał jeszcze z Francji, wzburzony wizytą, nie czekając z listem na powrót do Niemiec:

Zeszłej środy, 13. IX., byłem więc z synem w Vence u W.G. W Orce (u kuzynki) czekał na mnie list W.G., w którym mnie prosił, abym go telegraficznie powiadomił, którego dnia i o jakiej porze przyjadę go odwiedzić. Zadepeszowałem: „Arriverons mercredi vers midi”. – Wyruszyliśmy tam najpiękniejszą drogą przez Grasse i dojechaliśmy o wpół do pierwszej w południe.

Na nasz dzwonek W.G. otworzył nam osobiście drzwi do mieszkania na drugim piętrze i poprosił do swego gabinetu: „Whisky czy cognac?” – „Cognac proszę”... Weszła na to jego przyjaciółka, której nas przedstawił... „Bonjour Madame!” – „Mademoiselle”, poprawił mnie W.G. – To Kanadyjka, blondynka, całkiem ładna, z lekkim meszkiem pod nosem, bardzo miła, naturalna, sympatyczna, ale żadna tam olśniewająca „beauté”, około 28, po polsku właściwie nie mówi, tylko po francusku. – Wobec mnie, jak najprawdopodobniej wobec WSZYSTKICH, W.G. przyjął pozę: „arystokratycznego”, sławnego człowieka, nieco „z góry” i trochę ex cathedra. Ja ze swej strony nie przyjąłem tego do wiadomości, zachowując się z całkowitą swobodą tak, jak to czynię wobec każdego. Myślę, że był nieco „zafrapowany” tym, że go nie okadzam, jak tego

24 List z 5 czerwca 1967.

być może oczekiwał. Zapytał mnie o mój życiorys: gdzie się urodziłem, jak długo w Polsce mieszkalem. Odpowiedziałem (po francusku, jako że była z nami jego przyjaciółka), że nie da się tego ograniczyć jedną datą, bowiem w Polsce ustawicznie b y w a ł e m, także wtedy, kiedy mając 9 lat, uczyłem się w Dreźnie w gimnazjum. – Przerwał mi: „JAK długo był Pan w Polsce?” – „Niechże więc Pan posłucha: chcę to właśnie Panu powiedzieć!” – No i w końcu zrozumiał, że los mnie sprowadzał do Polski okresowo (podczas ferii szkolnych, ale i później), a jego przyjaciółka była zdumiona, jak dobrze mówię po francusku (w każdym razie lepiej od W.G.). Po mniej więcej kwadransie przyjaciółka poprosiła nas do stołu. Vol-au-vent, poularde, sauce champignon, tarte, café... Potem przeszliśmy z powrotem do jego gabinetu, – Cognac, – jego przyjaciółka pojechała z moim synem jego simcą na przejażdżkę do St. Paul-de-Vence, a ja rozmawiałem sam na sam z W.G. o *Operette*. Porównywałem moje niemieckie tłumaczenie z francuskim Jeleńskiego stwierdzając, że moje „kuplety” brzmią w nim lepiej aniżeli Jeleńskiego. Ale poprosił mnie, abym porównał jeszcze te obydwie przekłady i ewentualnie wprowadził stosowne modyfikacje.

Sam NIE kierowałem rozmowy na temat „Neske”, pozostawiając to JEMU. Byłem bowiem zdania, że lepiej i słuszniej będzie nie wspominać, że już widzieliśmy się i rozmawialiśmy ze sobą. W.G. mógłby w przeciwnym razie sądzić, że przybywam od Pana i „trzymam Pańską stronę” i jej „bronię”, co od razu wywołałoby w nim wrażenie, że jestem Pańskim „parlamentariuszem” – a to z kolei nastawiłoby go z miejsca negatywnie. – Tak więc po jakimś czasie on sam zeszedł na ten temat i pokazał mi Pański list, który mi Pan przeczytał już w Pfullingen i który zatem już znałem. Udawałem, że nie znam tego listu, odczytałem go i przetłumaczyłem... Na tej podstawie dyskutowaliśmy następnie o jego treści: W.G. powiedział, że za mało reklamy Pan wokół niego robił i że inni wydawcy sprzedali więcej od Pana. Poprosiłem o konkretne dane. Odparł, że we Francji wydanie *Kosmosu* w nakładzie 3.000 egzemplarzy rozsprzedano bardzo szybko i obecnie drukuje się drugie w nakładzie 2.000. W Anglii 2.000-ny nakład także został już wyprzedany. A jeśli chodzi o sztuki teatralne, to w Skandynawii mają się cieszyć takim sukcesem, że tantiemy dla wydawców od wystawień zredukował od dotychczasowych 40% na 10% i będzie się teraz domagał tego samego od wydawnictwa S. Fischer, które kasuje dotąd także 40%, nie robiąc p r a w i e n i c dla popularyzacji sztuk. Jeżeli S. Fischer nie

zejdzie do 10%, to *Operetkę* zaproponuje innemu wydawcy. Na marginesie: *Ślub* idzie właśnie w Zurychu... Potem przeszedł do zainspirowanej przez Pana ekranizacji *Pornografii*, mówiąc przy tym rzecz następującą: oczekuje ustalonej z góry większej sumy i nie zadowolony się nieokreślonymi obietnicami. – Powiedziałem na to: „Proponuję Panu przecież konkretną kwotę od kosztów produkcji, mianowicie 10% od jakichś 300 do 400.000 DM, którymi miałyby się Pan podzielić z wydawcą”. – „To mi właśnie jest dla mnie za mało”, rzekł, „chcę pewnej, konkretnej i większej sumy dla siebie, tak jak to jest przyjęte przy wszystkich ekranizacjach, powiedzmy 50, 100 tysięcy...” – Ja na to: „No tak, ale takie stawki dają może wtedy, kiedy autor jest już bardzo znany, jak np. Hemingway, kiedy więc jest pewne, że film przyniesie odpowiednie wpływy, czego w tym przypadku nie można jeszcze zakładać”. – Uśmiechnął się na to pogardliwie i protekcjonalnie, upierając się przy swoim zdaniu, aby stwierdzić na koniec: „Nie, na taką propozycję, jaką Pan wymienia, nie pójdę” – to byłyby „gruszki na wierzbie”...

Sam Pan widzi: z tym człowiekiem nie da się rozsądnie porozmawiać – chciałby tylko „dyktować” i wyobraża sobie, że „zaszedł” już tak wysoko, iż może sobie pozwolić na dyktowanie swoich warunków.

W temat sprawy „W.G. – Neske – Piper” wypowiedział się w tym sensie, że Pan robił zbyt mało propagandy wokół niego: że mobilizował Pan krytyków i recenzentów, aby pisali o jego utworach, ale uważał Pan za niestosowne i bezcelowe, ażeby to samo Pańskie wydawnictwo występowało z taką inicjatywą do prasy, bo uważał Pan, że takowa „autoreklama” nie trafia do czytelników. – On jednak uważa, mówił, że powinien był Pan dawać więcej OGŁOSZEŃ do odpowiednich gazet i czasopism. Nadal wielkie nadzieje wiąże z Piperem, który jego zdaniem będzie to robił lepiej i ma po temu większe środki. O tym, w jaki sposób Pan ugodzi się z Piperem, nie mówił; zapytał mnie tylko, czy dalej będę tłumaczył dla niego, na co odpowiedziałem, że to tylko zależeć będzie od niego samego, czy będzie sobie tego życzył, czy nie. Skomplementował mnie w odpowiedzi i prosił bardzo o dalszą współpracę. Wyraźnie oczekiwał, że mu za to podziękuję, ale ja rzekłem tylko: „No więc dobrze, zobaczymy, jak to dalej będzie”.

Na tym „historyczne” rendez-vous zakończyło się – i to z mojej inicjatywy, bowiem powiedziałem: „Czas już, abyśmy się pożegnali, bo chciałbym zdążyć z powrotem do Orcel jeszcze przed wieczorem”. Jego przyjaciółka i mój syn wrócili właśnie z St. Paul-de-Vence; powiedziała

do W.G., że bardzo podoba się jej simca mojego syna: „très chic, tout noir, très distingué!” – Wstałem, pożegnałem się, a W.G. rzekł, że ma nadzieję zobaczyć mnie niebawem znów, na co odparłem: „Może, jak przypadek tak zrządzi”. – Odprowadził nas do drzwi domu i o wpół do czwartej odjechalśmy. Voilà. –

Cóż, wrażenia na mnie absolutnie nie zrobił: oczekiwałem zachowania niewymuszonego, a nie takiego nieco „zmanierowanego”, taniego, na siłę efektownego, trochę „nadętego”, z czego nic sobie nie robiłem, śmiejąc się dużo podczas rozmowy. Przy stole spytał Dorian, czy stoi „z lewa” czy „z prawa” sceny politycznej. Dorian odpowiedział, że to zależy od okoliczności: na przykład podczas demonstracji studenckich przy okazji wizyty chacha Persji był przeciwko policji i po stronie studentów. – „A więc na prawo i konserwatywnie! powiedział W.G. – „Nie”, powiedział Dorian, „na lewo i liberalnie!” – „A więc na prawo!” stwierdził W.G. Ażeby skończyć z tym absurdem odezwałem się po francusku do Dorian: „Jeżeli Gombrowicz ci mówi, że stoisz z prawa i jesteś konserwatystą, to jest to święte jak amen w pacierzu, rozumiesz?!” – Nie udało się więc W.G. zakończyć tej wymiany słów „elegancką” pointą, tak jak zamierzał, pomimo całej swojej natarczywości. Nie udało się powtórka z *Berliner Notizen*. W.G. wydał mi się śmieszny i zupełnie nie „imponujący”, to był smutny „cyrk”, całe to nasze spotkanie. Podczas powitania zagadnął mnie: „Ależ dobrze Pan wygląda – ile ma Pan lat?” – Mówi nieoczekiwanie drobnym, wysokim głosem i wykrzywia przy tym usteczka, co wygląda żałośnie i sprawia, że on sam jawi się przy tym jeszcze bardziej pokracznie, tak samo jak i ta cała jego arystokratyczna „façon de se donner des airs” – ce qui ne prend pas chez moi, co dobrze zauważył.

Podczas drogi powrotnej Dorian powiedział: „Neske to rzeczywiście osobowość, bardzo interesujący i sympatyczny, a Gombrowicz rozczarowuje i pomimo całego rozgadania nie mówi nic interesującego”. Już po wyjeździe od Pana Dorian powiedział mi, że cieszy się, iż mógł Pana poznać – czego nie powiedział o W.G., który jego zdaniem, produkuje sam siebie tak jak swoje książki... I tu syn ma zapewne rację! [...]

Myszę, że W.G. „zgrywa się”, opowiadając o sukcesach innych wydawców, sądzę nawet, że on w ogóle jest „zgrywusem”, także w swoim zachowaniu, które mi nie imponuje, a jego tylko ośmiesza.

Okropne jest jego mieszkanie w tym szkaradnym domu, jakieś kombinacji secesji z renesansem, wśród przejętych mebli, bez



jakiegokolwiek osobistego „cachet”, zimne, bezduszne, w gruncie rzeczy takie, jak on sam – wszystko „sztuczne”.

Widok na Place du Grand Jardin: podły, publiczny parking dla aut ze wsi, dostawców (żadne tam rolls-royce’y czy jaguary), „Villa” stoi na uboczu, w kącie – parkingowy cieć nawet nie wiedział, gdzie jej szukać. Widziałem po drodze dużo rzeczywiście pięknych miasteczek jak Cornillon, Lançon, Grasse, gdzie można by mieszkać dużo ładniej – ale w VENCE, tam jest się „kimś” wśród innych „koryfeuszów” – tak samo nędznych... Gra się w teatr, a właściwie w szmirę!... Ma auto, Citroena 2 cv – jego przyjaciółka chciała by r o v e r a! Bonne chance! Życzę mu wszystkiego dobrego!...<sup>25</sup>

Tej emocjonalnej, wprost jadowitej relacji nie wolno czytać w oderwaniu od kontekstu prawie dziesięcioletnich już wówczas kontaktów między obydwu protagonistami. Swoich ostrych listów do Neskego na temat pisarza (rzadkich) tłumacz miał później żałować. W istocie zafascynowany był Gombrowiczem i w gruncie rzeczy cierpiał, że pisarz na jego manifestującą się w listach otwartość i żywiołową bezpośredniość reagował z powściągliwością. Na kilka dni przed śmiercią Gombrowicza pisał do Neskego o wstrząsie, jakiego doznał, czytając w kolejnym fragmencie *Dziennika* z lipcowo/sierpniowego numeru „Kultury”<sup>26</sup> o fatalnym stanie jego zdrowia i dodawał:

Żał mi go, biedaka, i jakże chętnie napisałbym mu to, ale traktuje mnie przecież z takim dystansem i chłodem, że nie mogę sobie na tę słabość pozwolić. Mam nadzieję, że nie przyjdą kolejne zawały, które by go wpędziły do grobu!<sup>27</sup>

Stało się inaczej. Znana i przeanalizowana dzisiaj nieumiejętność czy też niemożność wyrażania uczuć przez Gombrowicza<sup>28</sup>, o których, uważał, wystarczy umieć myśleć, a będąca rezultatem swoistego klinczu, w jakim zna-

25 List z 17 września 1967 roku.

26 „Kultura” 1969 nr 7/262-8/263.

27 List z 13 lipca 1969 roku.

28 Por. np. A. Kowalczyk *Rodzina jako źródło cierpień w twórczości Witolda Gombrowicza*, Universitas, Kraków 2006.

lazły się w jego psychice potrzeba i trudność bliskiego kontaktu z ludźmi, położyła się cieniem także na jego kontaktach z Richtermem – jednym z najbardziej mu oddanych ludzi w ostatniej dekadzie życia. Po śmierci pisarza tłumacz wspominał go często w listach do Kunstmanna sakramentalnym „*niech mu ziemia lekką będzie! Armer Teufel!*”.

Wracając zaś do wizyty w Vence, to Litka de Barcza komentowała otrzymanym od Richtera opis wizyty u Gombrowicza następująco:

Dudeczku drogi, na głos, sama w pokoju, uśmiełam się z Twego listu. Twoja wizyta u Gombrowicza! Czytając – byłam tam i dalej śmiałam i śmiałam się. Tak, on siebie celebrytuje jak Mszę; wszystko dookoła, to ministranci. On jest chorobliwy snob, więc ja przez moje 2 małżeństwa, a szczególnie przez II<sup>gie</sup> (on wielu Węgrów z arystokracji poznał w B. Aires), mam dla niego jakieś nadrzędne znaczenie. Głównie też o tym była mowa w Antibes, czyli tzw. Gotha-Pokier: kto z kim i kiedy i jak? w wyższych sferach. Rita jest miła i do rzeczy dziewczyna. Pewno, że jak jego forszę przepuści, to rzuci się gdzie indziej. Ale, muszę powiedzieć, że doszłusowała do niego, jak jeszcze żadnej forsy nie było. Tyle, że doczekała się jej po latach, co b. się jej chwali, bo znużyła, że na dobrego konia postawiła, co np. krytykom literackim b. rzadko się zdarza...<sup>29</sup>

Zaciekawiają w odpowiedzi Litki adresatywna forma jej listu do Richtera oraz wzmiankowanie „nadrzędnego znaczenia” swojej osoby dla pisarza.

Otóż bardzo poufały, by nie rzec: pieszczotliwy, ton, w jakim zwraca się do tłumacza, przestaje intrygować w świetle jej pozostałej korespondencji z nim (nazywanym także Rudeczkiem: to stąd wziął się Dudeczek, bywa, że i „najdroższy”) oraz niedyskrecji samego Richtera w listach do Kunstmanna. W cytowanym już tu liście do niego z 26 lutego 1970 roku wspomina nie tylko o „durzeniu” się Litki w nim, ale i np. o erotycznej atmosferze pewnej wspólnej podróży pociągiem do Zurychu w jednym przedziale sypialnym z nastoletnią wtedy Litką (do którego to przeżycia wracali jeszcze we wspomnieniach po kilkudziesięciu latach). Podsumowuje ten wątek listu westchnieniem: „I w rzeczy samej, gdyby nie II wojna światowa, która zmieniła WSZYSTKO, to jestem w zupełności przekonany, że

---

29 List do Richtera z 5 listopada 1967 roku.

pobralibyśmy się wtedy...”. Ten nieznaną dotąd charakter relacji łączących Richtera z de Barczą stanowi dodatkowe tło polecenia go przez nią pisarzowi na tłumacza.

Ale także za „nadrzędnym znaczeniem” Litki dla Gombrowicza kryć się mogły emocje – tym razem pisarza – a nie tylko jej arystokratyczne kontakty czy wręcz świadczona mu przez nią pomoc. Nie bez przyczyny ich wzajemną wymianę listów Rita Gombrowicz nazwała po śmierci męża „najbardziej emocjonującą” ze wszystkich jego korespondencji<sup>30</sup>. Wspominając w Argentynie lata przedwojenne, pisał do Litki:

szkoda zaiste, że nie ma Cię tutaj; w ogóle dziwnie się złożyło, że nigdy nie zbliżyliśmy się do siebie, ale mniemam, że gardziłaś tym Gombrowiczem od Mauersbergerów<sup>31</sup>, który jeszcze nie wykazał się i mnie Twoją piękną mocno onieśmielała<sup>32</sup>

i dodawał kilka dni później:

Ach, nie wiem, co by było, gdybym w przeszłości był inny czy też postąpił inaczej, chyba ażeby nie było, bo ja wówczas trawiony byłem okropnymi jadami i nie umiałem się zachowywać, t.j. nie umiałem postępować.<sup>33</sup>

Jak widać, są to listy w rzeczy samej bardzo emocjonalne, intymne szczerością, jakiej na próżno szukać nawet w korespondencji z członkami rodziny. Czy intymność Gombrowicza z tych listów, wręcz sekretność, była li tylko „grą w amitié amoureuse”<sup>34</sup>, jak przypuszcza Nina Taylor-Terlecka? Przytoczone tu wyznania zdają się temu przeczyć. Pisarz w swoich kontaktach z Litką liczył chyba także na odnalezienie uczuciowej nuty, jaka go łączyła z nią przed wojną, nawet jeżeli ona sama mogła nie zdawać sobie

30 Tak w 1970 roku wobec Günthera Neskego; cyt. wg listu Richtera (któremu Neske powtórzył tę opinię) do Kunstmanna z 2 października 1970 roku.

31 Rodzeństwo Zofia i Adam Mauersbergerowie prowadziło w przedwojennej Warszawie salon literacki, w którego spotkaniach uczestniczyli m.in. Litka Liphardt i Gombrowicz.

32 List z 29 października 1955 roku.

33 List z 5 grudnia 1955 roku.

34 N. Taylor-Terlecka *Gombrowicz i Alicja de Barcza*, s. 778.

wtedy z tego sprawy. Świadczyła by o tym jego pełna gorzkiej rezygnacji reakcja po nieudanym spotkaniu z Litką w Vence w 1966 roku wobec Rudolfa Richtera, w którym szukał po tym niepowodzeniu powiernika:

z Litką rzeczywiście dość nędznie wypadło. Mnie tego dnia astma dusiła, poza tym jakoś oboje nie zdobyliśmy się na przewyciężenie dystansu po tylu latach – trudno, panie święty, gdybym ją jeszcze ze dwa razy mógł widzieć, inaczej by to się ułożyło. Ale wyjechała. Trzeba pewnej energii, żeby nawiązać po tak długim czasie.<sup>35</sup>

Rzecz charakterystyczna, że spisując na przełomie lat 50./60. swoje *Wspomnienia polskie*, gdzie wspomina swoje znajomości z kobietami („nie umiałem sobie dać z nimi rady [...], byłem z nimi taki właśnie, jakim nie trzeba być”<sup>36</sup>), wspomina szczegółowo towarzyskie kółka i salony, w których obracał się razem z Litką – jej akurat nie wymienia ani słowem, jakby chciał chronić przed światem ten szczególny rodzaj relacji, jaki go z nią łączył. Ma to swoje znaczenie, jeżeli pamiętać, że pisarz zawsze bardzo świadomie kreował swój publiczny wizerunek i ściśle dozował wszelkie informacje na swój temat.

Nie rozwijając już dalej tego wątku, podkreślmy na zakończenie, że biografia pisarza daleka jest jeszcze od pełnego wyświetlenia, a wyjaśnień dla jej pełniejszego poznania i zrozumienia szukać trzeba<sup>37</sup>, jak chciałem to pokazać na przykładzie związków łączących go z Alicją de Barcza i Rudolfem Richterem, w jego na razie częściowo tylko poznanej i dostępnej korespondencji. Jej edycja zajmować będzie historyków literatury jeszcze przez długie lata.

---

35 List z 8 sierpnia 1966 roku.

36 W. Gombrowicz *Wspomnienia polskie. Wędrówki po Argentynie*, Instytut Literacki, Paryż 1977, s. 139.

37 Publikacja *Kronosu* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013) jest tylko etapem na tej drodze.

## Abstract

---

**Marek Zybura**

UNIVERSITY OF WROCŁAW

*Dolphie my dear... Dear Alice... An amitié amoureuse à trois in the German reception of Witold Gombrowicz*

This article sheds light on Witold Gombrowicz's relationship with Alicja de Barcza (née Liphardt) and his German translator Rudolf Richter (aka Walter Tiel). Zybura's research is based on their yet unpublished correspondence, part of the bequest of the German Slavist Heinrich Kunstmann (1923-2009) held at the Willy Brandt Center for German and European Studies at the University of Wrocław.